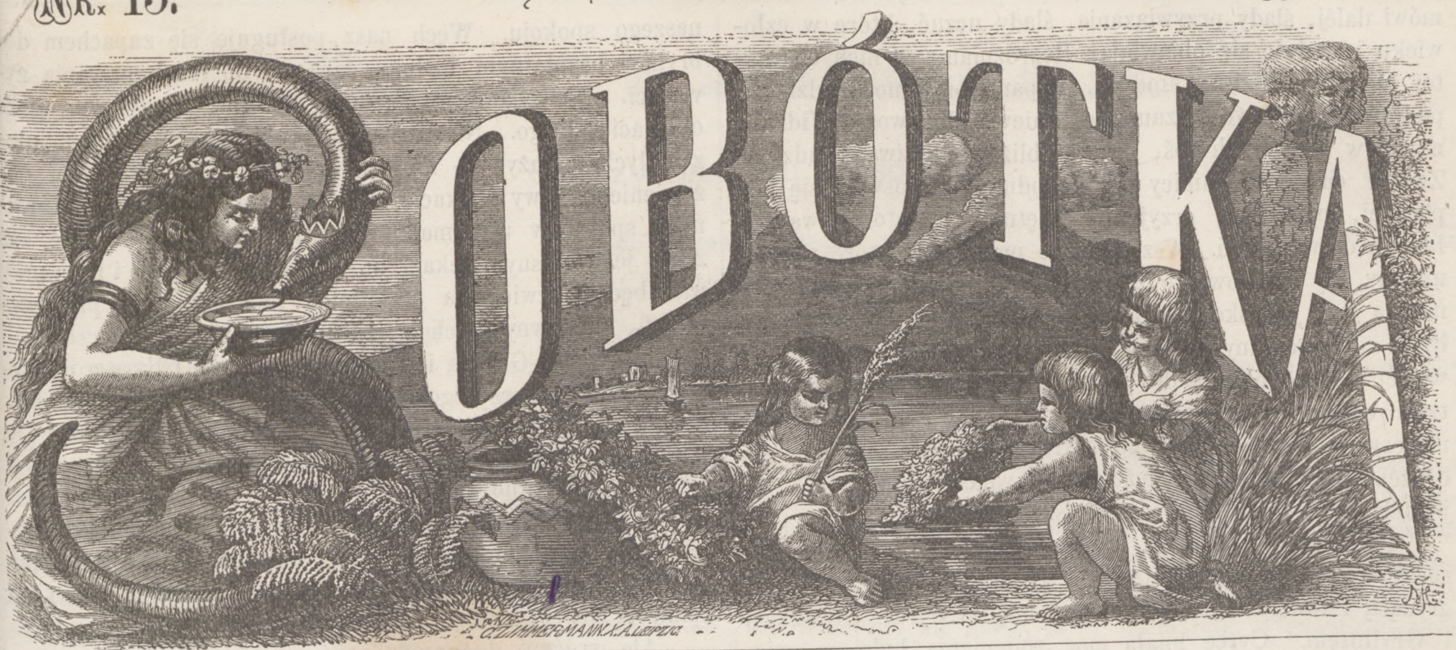
Nr. 15. Poznań, dnia 8. Kwietnia 1871. Rok III.



TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1½ ark. Kwartalnie 15 sgr.; w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

Pogadanki o przemyśle i przyrodzie.

O Inteligencyi Zwierząt

przez

Dra. C. F.

Cała natura rządzi się jednemi prawami, i manifestuje zawsze też same idee. Począwszy od człowieka a skończywszy na skromnéj roślinie, ogólne prawo jedności i odradzania się objawia nietylko w plastycznych formach istot ale i w sile, która je ożywia. W roślinie siła organiczna grupuje komórki, według formy każdego gatunku, zbliżając się do idealnego typu swego królestwa. Cedr na szczytach Libanu, płacząca wierzba nad brzegiem rzeki, olbrzymie drzewa dziewiczych lasów i cudne kwiecie naszych ogrodów wszystko marzy uśpione tchnieniem niepewnego życia.

W pewnéj liczbie roślin zauważano wrażliwości i poruszenia samowolne, zdradzające w nich zarodek systemu nerwowego. Stopień niższy królestwa zwierząt, zamieszkujących regiony oceanu, zdaje się należeć pod pewnym względem do świata roślinnego. W miarę jak się wznosimy w górę po drabinie życia ogólnego, duch zwolna objawia się więcéj zdeterminowanym i w człowieku dochodzi ostatecznego swego rozwoju — w człowieku, w tem ostatniem ogniwie wielkiego łańcucha na ziemi.

Rozważanie życia w naturze wskazuje jeden początek wszystkich istot i stawia je pod ogólnem prawem jedności żyjącéj i manifestującéj się pod formą materyalną i duchową. Prawo to uznane zostało przy pomocy potężnéj nauki XIX wieku, która z tryumfem prześciga ideę wieków minionych, dzielącą stworzenia i tylko człowiekowi przyznającą królestwo inteligencyi. — Wiemy dzisiaj dobrze, że człowiek nie jest odosobniony ani we wszechświecie ani na ziemi, wiąże się on z innemi światy węzłami życia powszechnego i wiecznego, a ludność ziemska organizacyą wspólną wszystkim mieszkańcom naszego planety. Już przepaść nieprzebyta między człowiekiem i Jupiterem, między mieszkańcem czarnym Afryki i białym Europy, między psem i rośliną dziś nie istnieje. Wszystkie istoty są dziećmi jednego prawa i wszystkie zmierzają do jednego celu — do niedościgniónéj i nieodgadnionéj doskonałości!

Reakcya teologów XVII wieku oddzieliła ściśle człowieka od niższych stworzeń na ziemi. Descartes przedstawiał zwierzęta jako zwykłe maszyny żyjące. Walka między odmawiającymi zwierzętom wszelkiego duchowego pierwiastku i przyznającymi go, toczyła się zawzięta. Z pomiędzy licznych rozpraw w przedmiocie tym pisanych, zacytujemy tylko Daniela ucznia Descarta i Boujeaut, który w zwierzęciu tyle znalazł ducha, iż w niem widział wcielenie djabła na ziemi.

Aristos jeszcze, przedstawił jasno prawo stopniowania istot: przejście od istot nieżyjących do zwierząt, mówi on, jest małoznaczne: ta ciągłość stopniowania zaciera granicę i niedozwala oku jéj dostrzec. Znajdujemy w zwierzętach,

mówi daléj, ślady przywiązania, ślady uczuć, które w człowieku wyraźnie się objawiają. Rozróżniamy w nich charakter łagodny i dziki: słodycz, wspaniałomyślność, dzikość, podłość, tchórzliwość, zaufanie, gniew i złośliwość. Widzimy nawet w niektórych coś, co się zbliża do rozwagi ludzkiéj. Zwykle charakter samicy jest łagodniejszy; oswaja się ona prędzéj, pieszczoty przyjmuje chętniéj i zastosowywa się łatwiéj do wymagań. Wszystkie te przymioty, które wymieniliśmy, są w człowieku nierównie więcéj uderzające, gdyż natura jego jest skończoną. I tak kobieta wrażliwszą zwykle bywa od mężczyzny, łatwiéj się łzom poddaje, zazdrosną jest więcéj i sposobniejszą do uskarżania się, że ją zaniedbują; traci odwagę i rozpacza łatwo. Kobietę łatwiéj jest niż mężczyznę oszukać, ale kobieta krzywdę wyrządzoną pamięta dłużéj. Pomimo że od mężczyzn są więcéj leniwe, duch ich jednak jest wrażliwszy i czujniejszy.

Posłuchajmy co mówi w tym przedmiocie jeden ze starożytnych uczonych, Plutarch. Trudno o krytykę więcéj gryzącą i dowcipniejszą jak dialog między Cyrce, Ulyssesem i Gryllusem. Cyrce miała moc zmieniania ludzi w zwierzęta. Ulysses prosi ją ażeby Grecyę w ten sposób przeistoczoną przywróciła do życia ludzkiego. Na to odpowiada mu Cyrce że stosując się do jego życzenia nie oddałaby Grecyi wielkiéj przysługi, gdyż w tem położeniu jest ona szczęśliwszą. I ażeby przekonać Ulyssesa o prawdzie słów swoich, pozwala mu chwilkę rozmówić się z Gryllusem (wieprz). „Milcz Ulyssesie i nie mów nic więcéj“ rzekł Wieprz-Gryllus. My czcimy króla którym wy gardzicie. Mam doświadczenie wyniesione z obu rodzajów życia i dla tego właśnie wolę to którem obecnie żyję. Dusza zwierząt bez wykształcenia i bez wpływów zewnętrznych musi być doskonalszą.

„Ale jakież są, mój kochany Gryllusie, cnoty któremi zwierzę jest obdarzone?

„Pytaj raczéj czy jest choć jedno, któreby nie miało cnót wyższych nad człowieka najmędrszego! O d w a g a, dla was zdobywców miast, jest tylko chytrością i podstępem, kłamstwem i oszukaństwem. Zwierzęta walczą tylko ufnością w ich siłę i jeżeli idą naprzód to nie z obawy kary za opuszczenia stanowiska, ale przez rzeczywistą odwagę. W chwili stanowczéj rzucają się zwierzęta na przeciwnika i umierają z odwagą. Nie zdają się one na łaskę wroga. Samica równa jest energią samcowi, kiedy Penelopa w czasie twojéj wojny spokojnie wypoczywa przy ogniu. Co więcéj, poeci nawet wasi dla porównania szczytnego odwagi, biorą odwagę zwierząt.

„Gryllusie! musisz być wielkim oratorem jeżeli pomimo ryja świńskiego, rozbierasz kwestyę tę tak ściśle. Powiedz mi co o wstrzemięźliwości.

„W s t r z e m i ę ź l i w o ś ć zasadza się na ograniczeniu swoich chęci, na zwalczeniu tych, które są zbytnie lub przeciwne naturze, i na uporządkowaniu koniecznych. Nas nie nęci ani złoto, ani srebro, ani stroje. Zazdrość nie zakłóca naszego spokoju. Węch nasz posługuje się zapachem dobrym i bezpłatnym i służy zarazem do rozpoznawania żywności. Oddychamy parfumami stwórcy, kiedy wy wasze opłacacie drogo. Niewstrzemięźliwość posuwa was do niezwykłych nadużyć — my zadawalniamy się skromnem pożywieniem — wy szukacie jakichś niezwykłych i nienaturalnych sposobów utrzymania waszego zdrowia — każde zaś z nas jest własnym lekarzem. Uważajcie na psy i inne przy was będące zwierzęta jak wielką nabierają ilość przyzwyczajeń, przeciwnych ich zwykłemu życiu.“

Tak mówi Grecya i prawie przekonywa Ulyssesa o wyższości życia zwierzęcego nad ludzkie.

Montaigne z tego samego punktu patrzy na zwierzęta i ludzi. — Tak więc Aristos, Plutarch i Montaigne zgadzają się na jedno.

Wszystkie wyżéj cytowane zdania praojców przytoczyliśmy nie na poparcie twierdzenia naszego, ale jedynie tylko na zillustrowanie poglądu starożytnych na zwierzęta i na zjadliwe ich szyderstwo z ludzi.

Ale wróćmy do przedmiotu praktycznego i zebrawszy poważne dowody, przekonajmy czytelnika o istnieniu inteligencyi u zwierząt.

Zwierzęta są obdarzone zdolnościami myślenia; posiadają duszę różną od naszéj i to tak dalece różną, iż o porównaniu tu mowa miejsce mieć nie może. Zdolność myślenia u zwierząt objawia się w różnym stopniu, stósownie do gatunku. Z pomiędzy wszystkich zwierząt, najinteligentniejszy jest bezwątpienia p i e s. W nim znajdujemy przykłady przywiązania stałego, poświęcania bez granic, wierności i poczucia obowiązków. Jeżeli do tych przymiotów dodamy jeszcze odwagę, z jaką te zwierzęta bronią swego pana lub jego własności, jeżeli dodamy szlachetne usposobienie, charkter przyjemny i łatwy, nic dziwnego więc że w ludziach mających cokolwiek serca przyjaciół znajdują. Byron patrząc na naturę ludzką z bardzo smutnego punktu, kosztem jéj podnosił psie cnoty. Burns tak mówi:

„Czemże wy ludzie jesteście względem Boga, Pana i dobrodzieja waszego? Patrz człowieku, ty dla psa jesteś panem, pies innego nie zna i nie pojmuje. Patrz z jakim poszanowaniem jest on względem ciebie, jak leży u nóg twoich, z jaką miłością je pieści, z jaką pokorą na nie patrzy, z jaką radością spieszy na twoje rozkazy. Cała dusza jego w tobie się zatapia, całą jéj siłę i wszystkie zdolności obraca na służbę dla pana.“

Autor dzieła o psach angielskich M. Jesse toż samo o nich mówi:

„Bierzcie psy i porównywajcie moralność ich, z moralnością wielu z was ludzi. Cierpliwość, wierność, bezinteresowność wszystko to są wielkie przymioty których wam nieraz braknie. Któż z was czytelnicy przykładów podobnych własnemi oczyma nie widział?

(C. d. n.)

PAŁAC I FOLWARK.

Obrazy naszych czasów

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Ciąg dalszy.)

Tego dnia gdy Kanonik począł się wybierać w drogę, a spłoszony Wikary wymknął się z plebanii, cały dzień go nie było. Nie przyszedł na obiad, nie wrócił po obiedzie, a nad wieczorem hrabina przysłała swojego kamerdynera z ukłonem, prosząc Kanonika aby był łaskaw ją tegoż jeszcze dnia odwiedzić.

Kanonik nie mogąc wyjechać, ani chcąc odmówić kolatorce, kazał odpowiedzieć iż służyć nie omieszka. Nie długo czekając wziął swój parasol nieodstępny, a żeby czasu po drodze nie tracić brewjarzyk w rękę i powoli pociągnął ku pałacowi. Kamerdyner czekał już na niego w ganku i jak tylko spostrzegł poszedł oznajmić pani hrabinie, która natychmiast kazała prosić Kanonika do gabinetu. Zastał ją tu samą, w krześle nad stolikiem, na którym już stała dla gościa podana kawa.

„Bardzo przepraszam“, odezwała się zmuszając do polszczyzny hrabina, „że fatygowałam ks. Kanonika — chciałam pomówić, poradzić się.“

Kanonik się skłonił — ona westchnęła.

„Trudno mi tak czasem do kościoła dojechać, a chciałabym codziennie słuchać mszy św., a znowu wam Wikarego odbierać, kiedy powinien być pomocą — zwłaszcza przy waszym wieku.“

„A! pani hrabino“, roześmiał się proboszcz, „ja jeszcze nie czuję się tak starym i niedołężnym — i radę sobie dam z parafią... Wikary mi nie jest tak nieodzownie potrzebnym.“

„Zawsze, zawsze mój ojcze...“

Kanonik chciał wysłuchać o co chodziło, więc milczał.

„Otóż, mój dobry ks. Kanoniku, wiedząc i to że wam podobno jakoś ten młody człowiek nie zupełnie dogodny...“

„Tego nie powiem“, przerwał Kanonik, „ja jestem z niego dosyć kontent, może on ze mnie, nie...“

Hrabina spojrzała bystro i spuściła oczy.

„Koniec końców, wzięłabym go sobie za kapelana, to i wybyście się od niego uwolnili — i jabym wam nie była ciężarem... Czy nie macie nic przeciwko temu?“

„Pani dobrodziejko“, odezwał się Kanonik, „jak tylko jéj życzeniem jest to — dla mnie będzie najmiléj jeśli się ono spełni.“

„Tak! tak! byłam pewna“, śmiejąc się dodała pani, „że wy się za to gniewać nie będziecie. Ale powiedzcie mi, ot, tak, szczérze, jak swéj kolatorce... czém on względem was przewinił?“

„Ja go o nic nie obwiniam“, rzekł Kanonik. „Możemy być różnych charakterów, nie zawsze się godzić w sposobie zapatrywania na świat, na ludzi i obowiązki — ale ja nic niemam przeciwko niemu.“

„Nic??“ powtórzyła hrabina.

„Nic a nic“, potwierdził Kanonik.

„Więc się starać mogę aby mi go wyznaczono za kapelana do pałacowéj kaplicy?“

„Jeśli wola w tém pani...“

Rozmowa tak poczęta, prowadzona ze strony kolatorki bardzo ostrożnie i delikatnie, potrwała jeszcze z pół godziny, zeszła na obojętne ogólniki i Kanonik oddał dobranoc.

Przy pożegnaniu hrabina powtórzyła zapytanie i dodała.

„Pomimo że mnie ks. Kanonik zapewniasz że nic do ks. Wikarego nie masz, ja — na wszelki wypadek, go proszę, gdybyś będąc w mieście był pytanym o niego... nie psuj mu... a jeśli jest nawet wina jaka“, dodała z przyciskiem, „odpuść mu ją po chrześciańsku...“

Pocałowała w ramię księdza, który powoli odszedł. W powrocie na plebanię już brewiarz nie przydał się gdyż zaczynało być ciemno, Kanonik z myślami swemi wolno pociągnął ku domowi. Czekała go tam siostra z ubogą wieczerzą — Juliana nie było.

Wieczerza była więcéj niż skromna, nakrycie do niéj jak najprostsze, obrus gruby, talerze stare, łyżki cynowe, karafka wody i chléb razowy.

Ponieważ probostwo było bardzo intratne, miano niezmiernie za złe Kanonikowi to jego tak nazwane skępstwo, które wypływało z zasady. Utrzymywał on że ksiądz był szafarzem mienia ubogich i sam jak najmniéj w użyciu się od nich różnić powinien. Miano to za przesadę, za pokrywkę sknerstwa tylko. Obywatelstwo które się zjeżdżało na odpusty i święta, nie znajdując na probostwie nic oprócz najprostszego śniadania, nie mogło tego darować Kanonikowi iż nie poił i nie karmił. Zarzucano mu nepotyzm, zbieranie dla siostrzeńca, dla siostry, chociaż biedny kapłan grosza nie miał przy duszy. Wiedzieli najlepiéj ubodzy w miasteczku, szkółka, sieroty na co szły jego dochody... Ci co go bliżéj znali byli dlań z uwielbieniem, ale na złośliwych nigdy nie zbywa.

Przy wieczerzy smutnym był i pleban i siostra jego; do tego usposobienia przyczyniało się iż Julian zbyt często się oddalał z plebanii, bawił nieopowiadając się gdzie, wracał smutny, posępny, milczący i nawet matce się nie zwierzał z tajemniczych jakichś obrotów. Wiedzieli że u Ostójskich bywał rzadko i to właśnie trapiło, że gdzieś się błąkał, a zapytany, niechętnie tłómaczył. Obawiano się nań wpływu pałacowego... gdyż posądzano że tam pono najczęściéj chodził i najdłużéj przesiadywał. Jednakże Kanonik aby nie martwić matki, matka żeby nie zniechęcać wuja dla syna, nie wspominali o tém i unikali rozmowy. Oboje widzieli w nim ze smutkiem wielkim zmianę wcale niepocieszającą. Pracował nad miarę, ale żył z duszą i sercem zam-

kniętém, z rachubą zimną i troską ciągłą o przyszłość, bez młodzieńczych porywów ku niczemu co zwykło młodość pociągać. W jego wieku to wystygnięcie zawczesne, to opętanie widokami ambicyi i robienia majątku, nie było wcale pocieszającem. Kanonik nie porywczym był w sądzeniu, matka jako matka pobłażającą — obojgu wszakże serce się trwogą ściskało.

I tego dnia talerz przy którem zwykł był Julian zasiadać, niebył zajęty przez cały ciąg wieczerzy, nie przyszedł na oznaczoną godzinę. Matka patrzała na puste krzesełko i łza się jéj w oku kręciła. Mówiła jéj na ucho p. Klara o tém iż powszechnie postrzegano że się zbliżał bardzo do pięknéj włoszki, nie wierzyła wszakże pobożna kobieta aby coś zdrożnego w tym stosunku być mogło. Kanonik jak o wielu innych rzeczach tak i o tém wcale nie wiedział. Jego trapiło to więcéj iż Wikary zbyt często z nim przestawał... bo się jego wpływu obawiał.

Z drugiéj jednak strony matka i wuj zbyt praktyczny kierunek widząc w Julianie, nie pojmowali jakby ująć się dał temu co mu przyszłość zawiązać mogło i co jego realistycznym przekonaniom było przeciwne. Najgorszem zaś dla obojga wydawało się to, iż Julian niechętnie mówił o sobie i nadto był zamknięty, co dowodziło, iż stracił dziecięce zaufanie do matki i wuja.

Pod koniec owéj postnéj wieczerzy która się składała z kleiku owsianego i kilku jaj, nadszedł Eliasz odnoszący zwykle wieczorem klucze od zakrystyi, od niepamiętnych czasów spoczywające nocą na kołku u drzwi; i pozdrowił siedzących.

„Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.“

„Na wieki wieków“, rzekł Kanonik. „Czy ks. Wikary powrócił?“

„Niema go... niema“, odparł Eliasz, „ale niewielki i żal po nim“, dodał, „bodaj czy nie zanocuje w pałacu, bo po manatki przysłał...“

„A!“ rzekł Kanonik.

„Aleć on i bez nich tam nieraz nocował... niewiem co znaczy iż dziś je zabrali.“

„On tam zapewne stale przy kaplicy osiędzie“, rzekł Kanonik.

„Toćby i dobrze zrobił“, mruknął wiarus, „płakać nie będziemy...“

„A Juliana tam nie widziałeś?“ spytał Kanonik.

„Nie, z książką poszedł... niewiem.“

„Gdy powróci, poproś go do mnie, jutro jadę, radbym się z nim widział.

Dosyć już późno było i Kanonik w swoim pokoiku ostatek wieczornych pacierzy odmawiał, gdy nareszcie Juliana krok dał się słyszeć w pierwszéj izbie. Zbieg wszedł.

„Gdzieżeś to bywał?“ spytał wuj.

„Zatrzymano mnie w pałacu...“

Kanonik położył brewiarz, zbliżył się do siostrzeńca, pocałował go w głowę.

„Mój Julku, mój Julku, powiedz mi, co tobie jest? Nie takeś dobrze z nami jak dawniéj, stronisz od matki i odemnie, nadto często przebywasz w towarzystwie pałacowem, zmieniłeś się.“

„Kochany wuju“, zawołał Julian, „naprawdę niewiem czy mi za złe mieć można iż to towarzystwo dobrem znajduję. Trudno o lepsze...“

„Ja go nie ganię... ale — płoche ono...“ rzekł ksiądz, „a że na świat patrzy z salonu, w którém jest zamknięte zawsze, pogląd jego na świat ten fałszywy często.“

Julian ruszył ramionami.

„Jakże twój wielce praktyczny kierunek, twoja miłość pracy, twoja ambicyjka, godzi się z przekonaniami tych... osób?“ spytał Kanonik.

„Jakoś się godzą“, lakonicznie zamknął Julek. „Są to ludzie dobrze wychowani, zdrowo zapatrujący się na społeczeństwo jakiem ono jest, bez urojeń, bez marzeń i to właśnie zbliża mnie do nich, bo ja — marzeniami się brzydzę.“

Kanonik stanął, popatrzał długo na Juliana nie mówiąc słowa i wrócił ku niemu z czułością obejmując za szyję.

„Dziecko moje! ty, w twoim wieku, marzeniami się brzydzisz! o! mój słodki Boże! coś powiedział! Tak! — wiek nasz cały idzie w tym kierunku iżby rad ochrzcił marzeniami najszlachetniejsze serca porywy... w krótce może i Ewangelię nazwiecie marzeniem... Wszystko marzenie! Ależ dziecko drogie, tém co ty zwiesz marzeniem, życiem ducha tylko żyje człowiek... jeśli zejdzie na ciało, będzie cywilizowanem bydlęciem... Marzenie!! mój Boże“, mówił Kanonik, „a toć żywot. Ideały! a toć słońca do których lecieć potrzeba... ono to jest więc u was także marzeniem, wszystko co człowiek niedoścignionego ściga.“

Stał winowajca, uśmieszek mu krzywił usta, niemówił nic. Kanonik uspokoił się po chwilce, zmiarkował że spór i dialektyka z milczącym niemożliwa, dał pokój.

„Ja jutro jadę“, rzekł, „byłbym ci wdzięczen, żebyś więcéj przy matce i domu pozostał. Między nami mówiąc, dobrą twą, kochającą cię matkę zaniebujesz trochę. Mniéj tego pałacu a więcéj pilnuj domu, jak mnie kochasz. Zechcesz się rozerwać, idź lepiéj do Ostójskich tam masz przyjacielskie prawdziwie, dawno wyprobowane serca... tam nic ci nie grozi. W pałacu radzi ci są bo się nudzą, ale oni z ludźmi nie swego świata, żyją tylko z nudów i przez grzeczność... a szczeréj dla nich miłości nie mają, bo ich za pośledni rodzaj ludzi nawykli rachować...“

Siostrzeniec milczał — na téj się więc nauce skończyło. „Dobranoc — dobranoc.“ — Kanonik padł na kolana i długo się jeszcze modlił.

(C. d. n.)

O STANOWISKU PRAWNEM KOBIETY

napisał
J. N.

(Ciąg dalszy.)

Czy tak jak jest być powinno? zobaczymy niżéj, teraz chciałbym tylko zwrócić uwagę czytelnika na to, co wyżéj powiedziano. Szybki ten, pobieżny, i bardzo ogólny pogląd na historyę praw kobiety, dowodzi jednak jednéj rzeczy, stanowczéj i niezawodnéj: w miarę podnoszenia się cywilizacyi, położenie kobiety prawne i społeczne polepsza się; czyli inaczéj, niewola lub zupełniejsze albo mniéj zupełne równouprawnienie kobiety, jest barometrem, wedle którego można ocenić wyższy lub niższy stopień cywilizacyjnego poziomu pewnéj epoki lub pewnego narodu.



Biskup Franciszek Stefanowicz.
(Rytowano w drzeworytni Sobótki.)

A ponieważ kobieta dotąd zupełnie równouprawnioną nie jest, więc prędzéj lub późniéj to nastąpić musi z mocy prawa postępu, chyba, gdybyśmy przypuszczać zarozumiale chcieli, że stoimy u zenitu cywilizacyi, i że odtąd ku barbaryzmowi zawracać zaczniemy, — hypoteza więcéj jak nieprawdopodobna.

Jakoż, postępu tego i tych dążności widzimy co chwila ślady oczywiste. Przed trzydziestu laty, kiedy George Sand napisała Indyanę, hałas na nią powstał wielki, a pobłażliwsi uśmiechali się pogardliwie. Sama zresztą forma wystąpienia dowodziła, że to jeszcze nie żadna idea ani program rozsądny, ale tylko krzyk rozpaczliwy, może bezwiedzy. Przed pół wiekiem kobieta-urzędnik, kobieta-doktor, kobieta-wyborca byliby śmiech i szyderstwo powszechne wywołali, dziś, pierwsze i drugie jest faktem w Ameryce, a w Anglii, nie żaden utopista i nauczyciel, ale poważny, surowy, sławny Stuart Mill, najznakomitszy z żyjących ekonomistów, stawał na czele stronnictwa, żądającego przypuszczenia kobiet do głosowania, i stronnictwo to znalazło w parlamencie angielskim 76 głosów, i wielkie poparcie w opinii. Prawo to nateraz upadło, ale prędzéj lub późniéj przejdzie i utrzyma się, bo leży w naturze rzeczy. Przeciwnicy jego, przeciwnicy zupełnego równouprawnienia kobiet, stanowią dziś większość ogromną, ale jak każda większość oparta na przesądach tylko, powoli stopnieje pod ciężarem tego jednego choćby argumentu. „Dla czego pierwszy lepszy chłop lub rzemieślnik czytać ledwie umiejący, ma głosować rozumniéj jak pani Staël, George Sand, Deotyma lub Ilnicka?“

Zresztą, cokolwiek mówi prawo przestarzałe, lub partya lękająca się postępu, wykonywa się on samą siłą mocy, i kobiety robią coraz większe wyłomy w zamkniętéj dla nich fortecy i robić je muszą, pchane zarazem poczuciem swych praw i osobistéj wartości, jak koniecznością czasów i okoliczności.

Jakoż w krajach bardziéj zacofanych, mniéj ludnych, gdzie życie spokojniejsze, łatwiejsze, a potrzeby mniejsze, gdzie w skutek tego każdy dąży do stworzenia kółka rodzinnego, i tworzy go śmiało, wiedząc, że pracą własną na potrzeby jego wystarczy, tam kobieta może zakres swego działania ograniczyć domem, być tylko matką, żoną i gospodynią, a resztę zdać na męża. Za tém zaś skromném zakresem i rodzajem abdykacyi, idzie naturalnie jéj zależność od tego który ją żywi i broni.

Ale w miarę wzrastającéj ludności, rosnących potrzeb, wzmagającéj się ruchliwości i czynności, owe kółka codzienne stają się rzadsze i do utrzymania trudniejsze. Ludzie się mniéj żenią i żenią się ostrożniéj, bo w obec konkurencyi i drożyzny praca człowieka ledwie na jego wystarczy potrzeby. Ten co się żeni, żąda i musi nawet żądać żeby mu kobieta pomogła czemś. Ztąd wynika, że posag jest dziś niezbędnym kobiecie, jeżeli chce zadanie swe na świecie spełnić, a jest to taką prawdą, że w niektórych państwach, trzeba wykazać pewien majątek żeby ślub otrzymać.

Ale nie każda panna ma posag. Cóż więc pozostaje bezposażnym? Oto posag ten zdobyć sobie pracą, oto do współki małżeńskiéj przynieść zamiast gotówki specyalność jakąś, umiejętność lub inteligencyę. Kobiety godzą się na to, ale żądają i żądają słusznie, aby im została otwarta droga wolna i swobodna, żeby im mężczyzni niezagradzali żadnego ze sposobów zarobkowania.

Stara partya broni się paradoksami o niezdolności ko-

biet, o ich niższości umysłowéj, o wynaturzeniu niewiasty i utracie tych wdzięków, które je tak niby wysoko stawiały. Kobieta powiada: „zobaczymy,“ i idzie naprzód.

Oczywiście że podstawą takiego postępu, musi być radykalna reforma wychowania. Jak niebezpieczném jest emancypować lud nieoświecony, tak do niczego niedoprowadziłoby równouprawnienie kobiet wychowanych wedle dzisiejszego systemu panującego w większéj części Europy. Przeznaczona na poddankę i zabawę mężów, często tylko cacko salonowe, w najlepszym razie na matkę zdolną poprowadzić pierwsze kroki dziecięcia, jakież wykształcenie otrzymywały i otrzymują dziewczęta europejskie? Języków jak najwięcéj, talentów jak najwięcéj, zresztą ogólne wiadomości o historyi i literaturze, elementarne z matematyki. Dla mezkiego egoizmu to wystarcza. Dobrze i wygodnie że żona mniéj umie od męża, a takie powierzchowne wykształcenie wystarcza, żeby ją zrobić miłą w salonie szczebiotką. Jest nawet pewien wstręt do tak zwanych rozumnych kobiet. Z drugiéj strony, pracowano wprawdzie szczerze nad sercem kobiety, wyrabiano w niéj łagodność, uległość, wdzięk i tego téż ani można ani należy zaniedbywać nawet przy wykształceniu najbardziéj na seryo pojętem. Ale obok tego chowano dziewczynę w zupełnéj nieświadomości świata, w zupełnéj ignorancyi o jego cnotach i wadach, o postępach i niebezpieczeństwach jego. Naiwność uroczą jest, ale niebezpieczną. I u nas i w Niemczech i we Francyi i we Włoszech i wszędzie prawie z wyjątkiem Anglii i Ameryki dziewczę z pod skrzydeł matki idzie pod opiekę męża. Jéj szczęście, jeźli ta opieka będzie rozumna i uczciwa, jeżeli wystarczy na młodość przynajmniéj. Ale to się zdarza nie zawsze. A wtedy pozostawiona saméj sobie, naiwna istota idzie przez życie z zamkniętemi oczyma, ciągniona ku przepaściom z naturalną naiwności ciekawością, zmuszona własnym kosztem uczyć się życia i świata... Instynkt szlachetny ratuje wiele na téj drodze niebezpiecznéj, ale nierozsądkiem jest puszczać słabą istotą z samym instynktem między przepaście, i pod pozorem zachowania w niéj dziewiczéj białości myśli i uczuć, nieuzbrajać jéj z góry przeciw temu, co ją zgubić może.

Wychowanie więc takie robiąc z kobiét istoty niezdolne ani utrzymać się o własnych siłach, ani iść przez życia koleje bez mezkiéj pomocy, stawiła je i utrzymuje naturalnie w zależności od tych którzy i prawa i ten system wychochowania wymyślili. Tak wychowane i usposobione kobiety nie są téż zdolne do zdobycia lub nawet używania emancypacyi.

To też emancypacyi téj potrzebę i możność uznano tam właśnie przedewszystkiem, gdzie ruch i życie wrzały najgoręcéj, gdzie cywilizacya największemi postępuje krokami, gdzie kobieta inaczéj wychowywaną była jak w Europie. Gdy na starym kontynencie wynalazcę pary miano za waryata, Fulton puszczał na morze pierwszy parowiec, gdy tu nieliczni zwolennicy równouprawnienia kobiet występowali z radykalnemi projektami i litość lub oburzenie wzbudzali, tam mężowie czynu wychowywali pokolenie niewiast zdolnych zdobyć sobie równouprawnienie.

W Ameryce, kobieta była oddawna wyzwoloną w sensie społecznym. Wśród twardych walk z naturą, jakie staczać musieli pierwsi pionierowie, wśród zbytku życia i czynności jaki przepełnia świat nowy, kobieta niemogła pozostać bezczynną, bierną, zależną, bezradną towarzyszką mężczyzny. Dzielić ona musiała jego trudy, wysilenia i gorączki, i wyrobiła w sobie energię, samodzielność i wiarę w własne siły. Podziwieniem a nawet oburzeniem przejmują europejskie towarzystwa owe amerykanki młode, piękne, które same jedne, bez mamy a nawet towarzyszki przybywają z za Oceanu i żyją jak księżne. A jednak to rzecz naturalna. Amerykanka wie z góry jakie niebezpieczeństwa młodą kobietę czekają, zna je, zna środki obrony, wierzy sobie bo czuje się sobą, i puszcza się w świat sama. Wiara ta może ją zawieść, może zbłądzić i upaść, ale to samo stać się może i z mężczyzną także.

Ale Amerykanie pojęli, że niedość kobietę oswobodzić z pod opieki mezkiéj, że niedość ją zostawić saméj sobie. Zrozumieli, że jéj trzeba dać i środki zaradzenia sobie w życiu, i takie podstawy wykształcenia by walczyć mogła inteligencyą z mezką połową ludzkości. Od trzydziestu téż lat w Ameryce zaczęto zakładać formalne licea dla dziewcząt z programem nauk, które się nic lub bardzo mało od programu mezkich szkół wyższych nie różniły.

Potém rzucano się na nowość jeszcze zuchwalszą, zakładając szkoły mięszane, wspólne dla płci obu. Jedno jak drugie przyniosło jak najlepsze rezultaty.

Dawne uprzedzenie o niższości inteligencyjnéj kobiet rozbiło się w obec doświadczenia. Pokazało się owszém, że jeżeli w lingwistyce, i w naukach filologicznych dziewczęta ustępują chłopcom, to za to przewyższają ich w naukach przyrodzonych i w matematyce.

Tak wychowane kobiety, zapragnęły wyzwolenia i choć prawo nieuznało go formalnie, nieśmiało jednakże stanąć otwarcie w obronie oczywistéj niesprawiedliwości. Podwoje uniwersytetów otworzyły się dla młodych słuchaczek, nie które fachowe zawody i urzęda zaczynają się zwolna otwierać.

Obawa, że kobiety rzucą się do zajęć sobie niewłaściwych, pokazała się także płonną. Mogą być ekscentryczne wyjątki, dość liczne nawet z początku, to rzecz naturalna, ale natura i instynk, większość kobiet skierują na właściwe im drogi. Tak w Ameryce, kobiety rzuciły się przedewszystkiem na posady nauczycielek przy niższych i średnich zakładach. Dziś w Stanach Zjednoczonych na jednego nauczyciela wypada blisko trzy nauczycielki, i przeszło 300,000 kobiet służy w ten sposób ojczyznie i zarabia na skromne życie.

Tam również było przed trzema laty 300 przeszło wykwalifikowanych lekarzy-kobiet, niektóre z nich używają wielkiéj sławy i praktyki. Kobieta-doktór w Filadelfii np, płaciła podatku od 80,000 dolarów (blisko 100,000 talarów) dochodu, pochodzącego li tylko z praktyki lekarskiéj. Obok tego tu i owdzie spotkać się już można z adwokatem w spódnicy, a wiele kantorów bankierskich, wiele biór rozmaitych przedsiebierstw zapełnionych jest rachmistrzami, kasyerami, buchhalterami płci pięknéj.

Najwyżéj po Ameryce stoi pod tym względem Anglia, gdzie wychowanie poważniejsze i swoboda jakiéj tam kobieta

niezamężna używa, przysposobiły i płeć niewieścią i opinię publiczną.

A niech się nikomu nie zdaje że te głębsze wykształcenia, i te zajęcia fachowe a korzystne przeszkadzają amerykańskim kobietom wypełniać ich obowiązki żon i matek, że robią z nich jakieś nieznośne bas-bleus, że ścierają urok ich kobiecości i niszczą szacunek jaki gdzie indziéj jest udziałem kobiety.

Amerykańskie doświadczenie odpowiada na to przecząco. Małżeństwa tam jak wszędzie na świecie zawierają się ze skłonności albo przez względy finansowe lub konwencyonalne. Ale tam rodzice poprzestają tylko na radzie przyjacielskiéj, żadnéj nie wywierając presyi. Poważnie wychowana panna, wcześnie choć teoretycznie objaśniona o trudnościach życia, rozporządza sama sobą, i sama też za przyszłość swą jest odpowiedzialną... Idąc za mąż amerykanka wie co ją czeka, zna przyszłe obowiązki, i wypełnia je zwykle dobrze. Zapewne i tam są małżeństwa niedobrane, i tam są złe kobiety, ale to pewna, że ich niema więcéj jak w staréj Europie. Statystyczne zaś wykazy dowodzą że ludzie tam do hymenu pochopniejsi, a stare panny daleko mniéj nieszczęśliwe jak u nas, gdzie obok braku serdecznych węzłów, których kobieta tak potrzebuje, czeka ich rezydencya u dalekich krewnych, lub w razie ubóstwa smutne zostawanie na łasce.

Nigdzie téż kobieta więcéj szanowaną nie jest jak w Stanach Zjednoczonych. Równouprawnienie nie pozbawiło ją przecież przywileju słabości fizycznéj, a barczysty, muszkularny, do walki upartéj zaprawny zdobywca natury, jest zarazem zbyt oświeconym żeby słabości nie uszanować. Szacunek ten wszedł w krew narodu. Ubliżyć kobiecie, liczy się tam do łotrostw hańbiących, a oburzenie publiczne objawiające się natychmiast w sposób amerykański niejednego już napastnika ukarało surowo. To téż gdy w dystyngowanéj Europie kobieta przyzwoita nie śmie się sama o zmroku pokazać na ulicę, bo ją pierwszy lepszy rozpustnik zaczepi, lub przyjaciółka obmówi, w Ameryce kobiety młode i piękne odbywają spokojnie same jedne takie podróże, w które mężczyzna puszczając się, bierze po dwa rewolwery do każdéj kieszeni.

(Dokończ. nast.)

J. I. Kraszewskiemu

za ofiarowany tom „Kartki z podróży."

Tułacz cóż może dać tułaczowi?...
Uścisk przyjaźni albo grosz wdowi —
Łzę współboleści, słowo nadziei —
Z wieńca swych marzeń uschły kwiat róży...
A po straszliwéj losów zawiei,
Kartki z podróży!

Ah! życie całe to podróż krótka...
Ranek — to biała karta albumu —
To morze ciche, po którem łódka
Marzenia płynie, w pośród fal szumu!...
Jeszcze emalia z serca nie starta —
Jeszcze maszt nie zna wściekłości burzy...
Młodość — to także cudowna karta...
Karta z podróży!

Wiatr się podnosi... i wargi spiekłe,
Namiętne, czułe, anielskie, wściekłe —
I łono drżące wiarą i szałem —
Roskosznie chłodzi... Choć wiatr źle wróży,
Nasz wieszcz młodzieńczy zbiera z zapałem
Kartki z podróży.

O, bo świat piękny, gdy pierś w płomieniach —
Gdy oko pała — dusza szeleszcze —
Gdy świat jest w lubéj — a luba w pieniach —
Gdy ziemia zlana z obłoków jeszcze...
O! piszmy wielki poemat wtedy —
Bo się on nigdy nam nie powtórzy!...
Krótkie są w życiu, bez łez i biedy
Kartki z podróży!

O, krótkie!... Potém na te wspomnienia
Łza płynie gorzka — niby z niechcenia...
Bo już przesiąkłe łzami źrenice
Płaczą, nie widząc słońca ni burzy...
Ciemne, ostatnie nasze stronnice —
Kartki z podróży!

Lecz jest pociecha! Wszak całe życie
To przedśpiew życia! To ścieżka wązka
Do wielkiéj drogi wiodąca skrycie...
To cierni mała, słaba zawiązka!
A z tą zawiązką, jak z talizmanem
Przejdziemy jaśni z ziemskiéj kałuży:
Świat się nam wyda smutnym kurhanem...
Kartką z podróży!

Bruksela, 24 Lutego 1866.

Henryk Merzbach.

ZEMSTA KRÓLOWÉJ

Podług Dickensa

napisała

Helena Potworowska.

Komóż znane nie jest z historyi szwedzkiéj nazwisko Gustawa Adolfa? Wielki to był umysł, wielki jako generał, wielki jako król i zagorzały protestant; to téż kochali go poddani i uwielbiali żołnierze. Wiemy, z jakiém powodzeniem prowadził długą i okrutną wojnę, wiemy, z jakiém męztwem legł na polu bitwy. Ci, którzy z uwagą życiorys jego czytali, zauważyć musieli, że zostawił dziecię-córeczkę, nazwiskiem Krystynę; mało kto jednak zastanowił się nad

charakterem dziecka, szczególniéj zaś nad wypadkami jego życia od chwili, gdy dziecko wyrosło na dziewicę.

Historya popularna i romantyczna literatura daje tylko ogólny pogląd, ale niewyczerpuje téj niepospolitéj istoty szczegółów życia, które same w sobie stanowić mogą skończoną powieść.

Mając zaledwie lat sześć, została królową szwedzką pod opieką sławnego Osienstierna, który podczas jéj małoletności rządził krajem.

Pomimo wszystkich powabów panowania, w cztery lata po koronacyi, z własnéj woli zrzekła się tronu, przekazując swe prawa na Karola Gustawa. — Z nietajonym wstrętem mówiła zawsze o próżnym przepychu i etykiecie dworskiéj, a chcąc się od niéj usunąć, puściła się w podróż bez żadnych oznak swéj godności, aby wolna od zaszczytów zwiedzić cywilizowaną Europę, poznać ludzi, ich obyczaje i ich sposób myślenia. Chciała nieodgadniona ta kobieta w jednéj chwili uzbierać bogaty wieniec nauki, który tylko doświadczeniem się zdobywa; rozumem zaś swoim wszędzie pragnęła się zmierzyć z najsłynniejszymi ludźmi swego wieku. To téż charakter jéj i różne wypadki życia wzbudzają jakiś urok pociągający i niewytłomaczony.

Uderzającym i zupełnie nowym jest widok młodéj kobiety królowéj, przekładającéj wiedzę nad koronę, oddającéj królewski przepych za wolność.

Lecz nie samymi jasnymi tylko kolorami oddać możemy życie Krystyny, ciemne nawet przeważają do tego stopnia, że ręka najzdolniejszego malarza nie umiałaby uniknąć w obrazie jéj życia rażącéj sprzeczności pierwiastku złego z dobrym, szczytnego z nikczemnym. W podróżach swych zwiedziła wieczne miasto Rzym. — Tu przeszła na wiarę katolicką, porzuciwszy tę, któréj ojciec bronił i za którą życie swe oddał.

Dodać jeszcze musimy, że z właściwą sobie lekkomyślnością uwalniała się od obowiązków swoich — często ważnych i świętych, jeżeli te czemkolwiek bądź stawiały opór jéj chęciom lub wymarzonym zamiarom. — Jakże pięknemi zaletami uposażył Bóg jéj umysł, rozświecił go, uzdatnił i zbliżył ku sobie. — Jednakże niechciał dzieła swego dokonać, bo doskonałemi istotami w niebie się tylko otacza; więc duszę Krystyny upośledził o tyle, o ile wzniósł jéj umysł.

Tak jak już wyżéj powiedzieliśmy, cały przebieg życia téj excentrycznéj monarchini jest nader zajmujący. Biograf znajdzie w niem bogaty materyał, nam chodzi tylko o opowiedzenie jednego faktu a ten już wystarczy do scharakteryzowania niepospolitéj niewiasty.

Sceną naszéj powieści jest Paryż w roku 1657; aktorami jéj są: królowa Krystyna, Markiz Monaldeschi, jéj wielki koniuszy i ojciec Le Bel, przełożony zakonu w Fontainebleau.

Z nazwiska widzimy, że Monaldeschi był Włochem. Pięknéj postaci, wytwornego ułożenia, przedewszystkiem posiadał on dar ujmowania ludzi i zdobywania serc niewieścich. Kiedy mu o to serce chodziło, kiedy chciał podbić kobietę, wtedy swoją taktykę wojenną umiał tak rozwinąć, że każda twierdza poddać mu się musiała. — Cóż dziwnego, że Krystyna, aczkolwiek królowa i otoczona tłumem o jéj względy ubiegającéj się młodzieży, jemu palmę zwycięztwa oddała. — Potrafił on usidlić tę duszę nieugiętą i zimną i rozpłomienić w niéj ogień, jakim dla nikogo dotąd nie pałała. — Nim zaś kierowała li tylko ambicya; pragnął wysokiego stanowiska, zaszczytów, a te osiągnąwszy, został nadal na pozór tylko kochankiem królowéj, i serce swoje oddał innéj. Piękna ona była i młoda owa Rzymianka, idąca w zawody z Krystyną, ale nie była królową i nie mogła w danym czasie uwolnić go od okrutnéj śmierci, którą mu rywalka jéj w zemście swojéj zgotowała. Monaldeschi kochał ją całą duszą, całem sercem młodzieńczem, które, aby urzeczywistnić marzenie swoje, poświęca całą przyszłość, nieodgadując następstw, i często jednę chwilkę szczęścia drogo opłaca. I tu nie inaczéj się stało; Monaldeschi nie wiedząc, jakimby sposobem ująć serce Rzymianki, opowiada jéj tajemnicę życia prywatnego Krystyny. Dla niego dopięcie celu było wszystkiém; dróg które doń prowadziły, nie wybierał: czy zła, czy dobra, o to się nie pytał, i honor poświęcał jeżeli mu stawał na przeszkodzie. To téż w najpodlejszy sposób nadużył zaufania, jakie Krystyna w nim położyła i niegodnie z nią sobie postąpił.

Nasamprzód oddał pięknéj rywalce wszystkie listy królowéj do niego pisane, w których niejedna odsłonięta była tajemnica. Nie dosyć na tem; w najohydniejszy sposób naigrywał się z uczuć, jakie wzbudził w królowéj, lekceważąc jéj miłość, drwiąc z jéj błędów i obracając w śmieszność jéj osobę, a to w sposób tak podły i obrażający, że najlepsza i najwyrozumialsza kobieta przebaczyć mu tego nie byłaby zdolną.

Przytém nieustannie starał się o względy królowéj i w chwili, kiedy ją najbardziéj obrażał i zdradzał, okazywał najszczersze do niéj przywiązanie.

Jednakże tylko do czasu podobne rzeczy udawać się mogły; godzina kary wybiła, a losy wybrały sobie za narzędzie kardynała, który nie wiedzieć jakim sposobem dostał całą tę haniebną korespondencyą do ręki i wręczył ją Krystynie na prywatnéj audyencyi.

Zasłona podniesiona, a zatém przypatrzmy się wypadkom poprzedzającym chwilę, którą opisać zamierzamy. — Ojciec Le Bel, przytomny okrutnéj zemście, miał przy sobie w odpisie wszystkie papiery i listy od Monaldeschiego do pięknéj rzymianki, nie wspomina jednak o téj korespondencyi w opowiadaniu swojém, choć wtajemniczony był we wszystko, bo wiedział także, że dochowanie tajemnicy jest świętym jego obowiązkiem; to zaś, cośmy tu powiedzieli o niewdzięczności i podłości Włocha, znajdujemy w pamiętnikach dawnych pisarzy francuzkich.

Niechże nam więc ojciec Le Bel odda we właściwych kolorach okropną chwilę zemsty królowéj nad Monaldeschim — i niech nam powie własnemi słowy, co zrobiła Krystyna po odebraniu listów od kardynała.

Szóstego Listopada 1657 — pisze ojciec Le Bel — o kwandrans na dziesiątą zrana przysłała po mnie Krystyna służącego; tenże zapytał mnie, czy jestem przełożonym zakonu? Otrzymawszy zadowalniającą odpowiedź, objawił życzenia swéj pani i rozkaz stawienia się przed nią w królewskim

pałacu w Fontainebleau, w którym wówczas mieszkała. Podążyłem, nie chcąc zostawić Jéj królewską Mość w oczekiwaniu, na wskazane mi miejsce. Służący poszedł uprzedzić królowę o mojém przybyciu; za chwilę powrócił i wskazał drogę do królewskich pokoi.

Krystyna była sama; wyraz jéj twarzy zdradzał smutek głęboki. Na zapytanie, jakie są jéj rozkazy, zmięszała się i nic mi nie odpowiedziała; a wychodząc z tego pokoju, w którym ją zastałem, kazała mi iść za sobą, lękając się zapewne niepotrzebnych świadków, i wprowadziła mnie do tak zwanéj „galerie des cerfes.“ Tutaj nagle zwróciła się i zapytała, czy po pierwszy raz się z nią spotykam? Odpowiedziałem, że miałem już zaszczyt być jéj przedstawionym i że wówczas bardzo mile mnie przyjęła; wyraziłem jéj za to mą wdzięczność i dodałem jeszcze kilka grzecznych wyrazów. Nic mi na to nie odpowiedziała; skinęła tylko głową, a po krótkiéj chwili namysłu rzekła: „Ojcze, mam ufność w tobie; sukienka, którą nosisz dodaje otuchy, budzi nadzieję i każe wierzyć w ciebie. Jednakże nim ci wynurzę to, co mam na sercu, przyrzecz mi ojcze, że wyznanie moje w takiéj zachowasz tajemnicy, jakbyś je w konfesyonale otrzymał.“ Starałem się ją uspokoić, przyrzekłem dochowanie tajemnicy i zapewniłem, że posłannictwo moje na téj ziemi świętem jest, a to dla tego, że zgoda jego hasłem, a zdrada nigdy nie przestąpi progów mego zakonu.

Tutaj podała mi pakiecik starannie zwiniętych papierów bez żadnego napisu, i opatrzony trzema dużemi pieczęciami; prosiła mnie następnie, abym paczkę tę schował w miejscu pewném i abym zawsze był gotów oddać jéj takową w obecności kogokolwiekbądź, gdy ją odemnie zażąda. Nadmieniła także, abym wyrył w pamięci swéj godzinę i miejsce, w którém mi owa paczka wręczoną została; potém zwróciła się ku drzwiom, z pochyloną głową na piersi i wolnym krokiem opuściła galeryę. Sądząc po twarzy i dziwnie zamyśloném czole, myśli jéj musiały być wzburzone.

W sobotę 10. Listopada o godzinie pierwszéj po południu Krystyna powtórnie przysłała po mnie; zabrawszy papiery, pospieszyłem na wezwanie. Nie zostawił mnie już służący w przedpokoju, lecz wprowadził zaraz do galerie des cerfs, zatrzaskując drzwi z takim pospiechem że mimowolnie cały zadrżałem.

Królowa stała na środku sali; rozmawiała z wielkim koniuszem, Markizem Monaldeschi. Nie chcąc im przeszkadzać w rozmowie, oddałem z daleka pokłon królowéj i stanąłem na uboczu, oczekując chwili, w któréj do mnie przemówi. Nareszcie zwróciła się ku mnie. Krok jéj był martwy, lecz głos silny i czysty; prosiła mnie w obec Markiza i trzech innych mężczyzn, którzy na uboczu stali o zwrócenie jéj listów, które przed kilku dniami pieczy mojéj poruczyła. W tém jeden z owych trzech mężczyzn zwrócił się ku niéj, dwaj inni daléj się jeszcze w głąb sali cofnęli. Właśnie w téj chwili oddałem jéj paczkę z papierami, na którą popatrzyła zamyślona, potém otworzyła ją nagle i podała listy w niéj zawarte Markizowi z rozkazem, aby je przeczytał, co gdy tenże uczynił, spojrzała na niego skamieniałym wzrokiem i zapytała głosem pewnym i dźwięcznym, czy dokumenta te poznaje. Markiz zbladł śmiertelnie; zaprzeczył wszelkiéj znajomości tych papierów i zaręczył, że poraz pierwszy je czyta.

„Markizie!“ zapytała znów królowa, „czy papierów tych nigdy nie widziałeś? Chcę odpowiedzi stanowczéj: tak lub nie.“

Markiz zbladł bardziéj jeszcze, wzrok utopił w ziemię i słabym głosem wyrzekł: „nie, nie widziałem nigdy.“

(Dokończ. nast.)

Biskup Franciszek Stefanowicz.

(Z ryciną.)

Nie ma pomiędzy nami już téj wzniosłéj postaci, którą rycina wskazuje, zerwały się struny tego szlachetnego serca, co tak gorąco, tak szczerze pokochało Kościół i Ojczyznę. Przeniósł się do wieczności na dniu 23 Marca w naszém mieście ś. p. ks. biskup-sufragan Franciszek Stefanowicz, kapłan wedle serca Bożego, wierny zakonowi, ale i pamiętny, że winien wiele i z nauki, którą zdobył i ze stanowiska, jakie Opatrzność mu wskazała, ziemi, na któréj się urodził, braci, wśród któréj pracował. Urodził się w Mosinie dnia 29 Kwietnia 1801 z rodziców Rocha i Zofii z Noskowiczów. Lata pierwszéj młodości spędził w domu, oddany potem do gymnazyum poznańskiego, skończył w niém nauki, wstąpił do seminaryum duchownego w Poznaniu, a że dla wieku po ukończeniu nauk teologicznych nie mógł być wyświęconym, sprawował obowiązki domowego nauczyciela u synów referendarza Józefa Morawskiego i Antoniego Sczanieckiego aż do 3 Października 1824. Wyświęcony w dniu tym na kapłana, rozpoczyna w głębokiéj ducha pokorze, z podziwienia godną skromnością we wiejskiém zaciszu, przy skromnym wiejskim kościołku, wśród kmiotków trudny swój zawód może na to, aby tém goręcéj pokochać ojczystą ziemię, odchylić i odsłonić prostaczka serce, w którém wiara jędrna, gorąca, nie wystudyowana, nie zatrute żadnemi wpływy w kapłanie budziła i podtrzymywała żywe i gorące przywiązanie i do ziemi ojczystéj i do ojczystych zwyczai. I musiało to przeczuć dobrze, tém się silnie przejąć serce młodego kapłana, kiedy tak i w księciu kościoła i pod mitrą wyraźnie się odbijał typ ten piękny polskiego kapłana. Z zapałem oddawał się pracy jako wikaryusz w Zakrzewie, Nieparcie, Pakosławiu i Czaczu, kiedy władza duchowna w r. 1844 w liście doń wystósowanym chwali pilność jego, zasób nauki, pobożność i gorliwość, a późniéj kilkakrotnie przypomina, że każdéj chwili uznać gotowa zasługi jego i przelać nań wszelakie dostojeństwa. Skromny przecież nie gonił on nigdy za niemi, — drżał na ich wspomnienie, wymawiał się od ich przyjęcia, a chociaż się skarżył jako proboszcz w Poniecu, że sam pracy podołać nie może, że ciężar za kilku dźwigać musi, kiedy dla braku duchownych

w owe czasy pomocników mieć niemógł, długo się opierał, zanim wreszcie poddał się woli arcypasterza swojego i Poniec opuścił. „Boję się i drżę cały na wspomnienie o téj promocyi... chociasz nie masz ofiary, któréjbym dla czci i chwały Boga uczynić nie chciał,“ pisze ś. p. ks. biskup Stefanowicz pod d. 21 Stycznia 1847 r. do ś. p. ks. arcybiskupa Przyłuskiego, kiedy go do kapituły chciał powołać i dodaje: „jeżeli kogo innego wybierzesz, będę w tém widział wolę Boską i cieszyć się będę i z głębi duszy złożę dzięki Bogu“ skromność ta nie dozwoliła mu także przyjąć godności regensa, jaką go ś. p. arcybiskup po odejściu ks. Kidanewskiego zaszczycić chciał. — Wysokie cnoty kapłańskie, pobożność i ujmująca słodycz w obejściu i doświadczenie pasterskie nabyte w długolotniéj ciężkiéj pracy zdobyły mu całe zaufanie arcypasterza, tak, że po śmierci ks. biskupa Dąbrowskiego otrzymał najwyższą godność w kościele bo godność biskupią. — Wysokie to stanowisko zachęcało go do coraz żywszéj pobożności i niezmordowanéj gorliwości w wykonywaniu obowiązków. Znana ta wzniosła postać po wszystkich stronach dyecezyi — z jaką niezmordowaną gorliwością przemawiał z kazalnic i całemi dniami sakrament bierzmowania udzielał. — Obok prac w kościele, przywiązany całem sercem do ojczyzny i narodu, brał udział o ile mu tylko obowiązki duchowne dozwalały, we wszystkich pracach mających na celu podźwignienie narodowości naszéj, obronę praw naszych. Z działania jego publicznego dwa są głośne fakta świadczące o gorącéj miłości ojczyzny.

W r. 1849. kiedy w Berlinie celem zmiany formy rządu i pozyskania większéj wolności dla poddanych zebrało się zgromadzenie narodowe pruskie — zaufanie obywateli charakterem swego posła go ozdobiło. W r. 1858 zaś wybory do pruskiego parlamentu spowodowały go do wydania głośnego w swym czasie okólnika, w którym ludność polską powoływał do jak najgorliwszego korzystania z prawa wyborczego. Okólnik ten przyczynił się do tego, że wybrano w księstwie Poznańskiem niesłychaną dotąd liczbę deputowanych — ale ściągnął nań rozliczne prześladowania rządu. Ostatnie lata swego życia zwątlony na siłach i podlegający różnym słabościom usunął się od wszelkiego głośniejszego działania — tym pilniéj pracował na polu swych obowiązków duchownych.

Kilka miesięcy przed skonem już mieszkania nie opuszczał. Gasł powoli — i zasnął cicho snem wiecznym — jak skromny i cichy cały był żywot jego. Exportacya zwłok jego do Katedry w Poznaniu zgromadziła liczne tłumy, które oddając mu przysługę ostatnią, świadczyły o miłości, wdzięczności i uznaniu jego cichéj ale pełnéj owocu pracy.

GAWĘDY Z MIASTA.

V.

Drogi Władziu!

Po długiem postném milczeniu chwytam znów za pióro, by list mój doszedł Cię właśnie w chwili, gdy, otoczon dziatwą Twą, czeladką i przyjaciółmi z sąsiedztwa, dzielić się z nimi będziesz wielkanocném jajkiem. Jednocześnie z rezurrekcyą, którą zwiastować będą strzały z moździerzy wiejskiemu Twemu ustroniu, zmartwychwstanie ten „miły gawędziarz“ Sobótki, którego serdeczni koledzy nazwawszy „niepoprawnym“, na wieki pragnęli pozbawić przyjemności pisywania Ci o naszém małém ale wesolutkiém miasteczku. Poczciwi, zapomnieli całkiém, że właśnie ten przymiot niepoprawności skazuje mnie na ciągłe gadulstwo. Nieraz już z tego powodu wystawiony byłem na „łokciowe bury“, przyrzekałem uroczyście, iż odtąd trzymać będę język na wodzy, i w téj saméj chwili znów popadałem w mój grzech wrodzony. Chociażbym więc i tą razą miał się narazić na krytyki złośliwe i dowcipne innych kronikarzy przytyki, pisać muszę i będę, bo wiem, że Ty drogi Władziu, będziesz dla mnie pobłażliwym a niektóre czytelniczki, co już poczęły porzucać Sobótkę, znów może z uśmiechem raczą sięgnąć po nią białemi paluszki...

* * *

Zaledwo przebrzmiały w bazarowéj sali ostatnie echa balowéj muzyki, aliści wraz z popielcem spoważniała i otwarła swe progi zamiast pląsającym parom zgromadzeniu członków Towarzystwa Naukowéj Pomocy. Tegoż samego dnia po pierwszym postnym obiadku zebrali się mężowie, którym dobro narodowéj prasy leży na sercu, w dwóch odrębnych miejscowościach i celach. Na jedném z tych zebrań opiekunowie poznańskiego b. Timesa dziękowali czule swemu przewodnikowi za odpowiednią stósunkom i potrzebom pisma zmianę redakcyi, nie szczędząc sowitych nagan zdetronizowanemu redaktorowi. W rzeczy saméj mieli słuszność wielką. Czyż można wyobrazić sobie w dzisiejszych czasach gorszy dziennik nad taki, który żadnéj nie zaczepia osobistości, z nikim nie zrywa, wciąż lawiruje dla urojonéj jakiéjś obawy nierozbicia solidarności, a na dobitek wciąż przysparza dochodów i liczby abonentów? Dziś drogi Władziu, trzeba przedewszystkiem grzmieć na ultramontanów, mówić jak najwięcej o pracach społecznych i zdrowych zasadach ekonomii politycznéj, chłostać bezustanku „pana Kajetana“ i „wielkiego nieznajomego“ — to jedyna, nieomylna droga do popularności publicznego u nas organu. Są przecież i śród nas, jak wszędzie i zawsze, ludzie wsteczni i ciemni, którzy ducha epoki odgadnąć nie mogą. Garstka to niezbyt wielka ale silna organizacyą i pieniędzmi. Więc kiedy na jednym krańcu miasta toczył się rozgowór o energicznym programie naszego byłego Times'a, ną drugim naradzano się żywo, jakimby sposobem można dla tego niegodziwca jak najprędzéj wykopać grobową mogiłę, by ku wygodzie i zbudowaniu wiernych zamilkł na wieki. Narady, jakkolwiek grono rozstrząsających kwestyą głównie się składało z apostołów pokoju i zgody, miało być, jak mi opowiadał ksiądz kolega literat, bardzo burzliwe i przypominało nieco izbę wersalską. Najgorzéj poszło jakiemuś śmiałkowi, który nieproszony wlazł między wrony a miał cywilną odwagę nie krakać jak one. Zaledwo nie postradał nieborak bujnéj czarnéj czupryny i musiał się śród dzielnéj walki wycofać. Koniec końcem stanął rezultat taki, iż w tysiącznych egzemplarzach rozeszła się po poczciwém Księstwie litografowana odezwa, zapraszająca uprzejmie do podpisywania 10-talarowych akcyi na założyć się mający poznański Monde, który stanowczo położy koniec herezyom Dziennika Poznańskiego i jego wzoru, drezdeńskiego Tygodnia. Ufajmy Bogu, że odezwa ta nie będzie głosem wołającego na puszczy!...

Skorom już napomknął o tutejszéj prasie, pozwól, że Ci zwrócę uwagę na nowe, wielce obiecujące pisemko, które z 1 Kwietnia ujrzało światło dzienne. Jest niém Orędownik, który zaraz na wstępie zapowiedział, że wziął sobie za misyą wyleczyć nas studentów i niedorostków politycznych z fatalnéj kołowacizny zajmowania się sprawami Europy, gdy nam Pariasom tylko miłym zarobkiem na chléb powszedni zatrudniać się godzi. Gazeta Toruńska ośmieliła się wprawdzie w czterołamowym artykule twierdzić, że mędrzec Orędownika jest w błędzie i sam właściwie wrócić jeszcze powinien, mianowicie dla zupełnéj nieznajomości geografii, na studencką ławę, zanim się wspinać zechce do profesorskiéj katedry, wszakże żółciowy ten wybryk panny Torunianki przypisywano raz jalousie de metier, powtóre

świeżemu wrażeniu z ostatniego niewesołego walnego zgromadzenia jéj zacnych i ofiarnych dobroczyńców...

Ale powracam do poważnych zebrań poznańskich. Było ich tém więcéj w tym roku, że właśnie przypadały wybory. Agitacya wrzała tą razą szalona; Dziennik zapomniał całkiem o wojnie francusko-niemieckiéj, rozpalając zażartą wojnę domową. Padał z jego kolumn grom po gromie na „klerykałów“ i ich przewódzców; Tygodnik Katolicki, posiłkowany poznańskim korespondentem do Czasu, odstrzeliwał się z początku z podziwienia godną wytrwałością, i już poczęła się ważyć szala zwycięztwa, gdy nagle z nad kaliskiéj granicy pojawił się tak straszny dla księdza-redaktora i jego mecenasa przeciwnik, że zwątpiwszy o wygranéj, rzucili kopie i zatrąbili do odwrotu. Tryumf był wielki onego dnia między poznańskimi poganami a wszyscy kandydaci i niekandydaci do krzeseł poselskich pospieszyli na wyścigi z publiczną w Dzienniku spowiedzią swéj wiary politycznéj, co niejednemu mężowi dozwoliło w sposób delikatny napisać sobie reklamkę i przypomnieć się pamięci ukochanych współziomków.

Jak wszystko przecież, tak i walka „ultramontanów“ z „narodowcami“ znalazła swój koniec, znużywszy do syta poznańską „inteligencyą.“ Zwolna przestano mówić o obu obozach, i używając wyrażenia jednego z mych złotych przyjaciół, puszczono je „w trąbę.“ Gdy jednakże ścieranie się opinii jest nieodzownym warunkiem zdrowia i bytu téj zacnéj warstwy naszéj publiczności, przeto wnet wymyślono inne jabłuszko niezgody, o które bój wszczął się żwawy na „Kółku,“ w „Przemyślu,“ przy kawie w cukierniach, przy kufelku piwa i przy kieliszku węgrzyna. Nie będę Ci drogi Władziu, opisywał przebiegu tego boju, który miał na celu doprowadzić do skutku Związek wszystkich Spółek pożyczkowych, czego też w zasadzie szczęśliwie w końcu dokonał, nie jestem bowiem specyalistą i będąc zawsze bez grosza, w Towarzystwach pożyczkowych niemile jestem widziany. Znajdzież zresztą w Dzienniku i Orędowniku obszerne w téj mierze sprawozdania, do których Cię odsyłam. Tu pozwolę sobie tylko zwrócić Ci kilku słowy uwagę na szczęśliwą gwiazdę, jaka pod względem rozwoju prac ekonomiczno-społecznych miastu naszemu obecnie przyświeca. Gwiazdą tą jest młodociana trójca olbrzymio utalentowanych ekonomistów, których raczyły zesłać nam nieba na pożytek ogółu i każdéj jednostki z osobna. Oni to dziś rozbudzają słowem i czynem umysły, prezydują lub trzymają pióro we wszystkich wydziałach, komisyach i zebraniach, wymową swą rozgrzewają nawet najobojętniejszych. Bo też trudno zaiste, oprzeć się urokowi ich zewnętrznéj postaci i głębokości ich wewnętrznego rozumu... Pierwszy maleńki, ale mina ruchliwa i dzielna. Czarne oczy ciskają bezustannie na okół promienie, chyba że zbytek pracy żelaznéj, migreną przytłoczy białe jego czoło... Wymowa jego płynna, potoczysta i pełna oratorskiéj krasy tę ważną posiada zaletę, że wstęp obrazowy zwykle trzy czwarte rzeczy saméj zabiera, a da się użyć z efektem przy każdéj sposobności, tak samo, dajmy na to, przy otwarciu jakiego rólniczego zakładu, jak przy zagajeniu uczonego jakiego zgromadzenia. To też nie było przykładu, by słowa tego uprzywilejowanego od natury mówcy nie wywarły znakomitego wrażenia. „Brawo! brawo!“ wołają wszyscy słuchacze, choć nieraz ludzie słabszego umysłu nie mają wyobrażenia, o czém właściwie były mowa. Ale to nie wina przyszłego, jak wieść niesie, patrona Spółek pożyczkowych!... Drugi, wzrostem nieco a tuszą znacznie okazalszy, przyćmiewa okularami oczy, by blask nauki i geniuszu podobno z nich tryskający, nie olśniewał zanadto studenckiego gminu, do którego raczy przemawiać. Orędzie jego leje się potokiem, rozumie się wszakże, że nie chodzi głębokiemu ekonomiście o chwilowe porwanie słuchaczy pełnemi ognia zwrotami, ile raczéj o przekonanie ich gruntowne faktycznemi datami, z ksiąg zaczerpniętemi. Zatém, gdy mąż ten kieruje pogadanką w Towarzystwie Przemysłowém, rezultat jest zawsze błogi, że tak powiem, dodatni... Trzeci być może, żem niedość bezstronny, jest dla mnie najsympatyczniejszy. Mam słabość do blondynów o pomidorowéj, młodzieńczéj brodzie i zakręconych wąsikach. Przebija z nich zwykle łagodność charakteru i brak wszelkiéj złośliwości. Mówią wprawdzie plotkarze, że jasnowłosy ekonomista ma ostry języczek i pióro, jak żądło, mianowicie gdy się zapali przeciw ultramontanom, — ale ja temu nie wierzę. Natomiast przysięgam Ci, że zawsze chylę czoła przed jego zwięzłym, stanowczym, apodyktycznym niemal sądem o rzeczach. Gdy rzecz swoją skończy i z uśmiechem siada na miejsce, wyraźnie wyczytać można z jego uprzejméj twarzy, że na żadną replikę nie przyzwala, bo już węzeł gordyjski rozciął mieczem swego nad wiek wytrawnego rozumu...

I jakże chcesz drogi Władziu, by Poznań posiadając taką trójcę, pełną młodzieńczéj, tytanicznéj siły, mógł zwątpić o powodzeniu spraw ekonomiczno-społecznych?... W ostatecznym razie mamy przecież jeszcze w rezerwie wielkiego ekonomistę w pewném małem miasteczku na prowincyi. Skarb to ukryty, ale tém drogocenniejszy... Nie zginiemy zatém, nie miéj najmniejszéj obawy.

* * *

„Ach, jaki on nudny dzisiaj!“ wykrzykniesz bezwątpienia drogi Władziu, odczytawszy pierwszą połowę mego listu. W rzeczy saméj rozmyślania postne i rachunek sumienia, jaki w tych dniach robiłem w skrytościach mego serca przed wielkanocném oczyszczeniem się z grzechów, nastroiły mnie tak poważnie i smętnie, iż sam unikając związków światowych, zapomniałem całkiem, jak Ty przyjacielu lubisz namiętnie towarzystwo salonowe i pragniesz nawet w zaciszu Twego zaścianka być zawsze au courant nowinek du beau monde. Spieszę więc uleczyć Cię z poziewienia nad moją Gawędą, niosąc Ci w darze wiązankę doniesień, zaczerpniętych z opowiadań i zwierzeń hr. Edwarda.

Żałuj o Władziu, powiem Ci na wstępie, żeś nie był w czasie tegoroczuego postu w naszém miasteczku. Ty, co tak lubiłeś dawniéj cały dochód z pszenicy poświęcać na przepędzenie zimy w Dreźnie lub Berlinie, byłbyś mógł daleko lepiéj użyć tych pieniędzy w Poznaniu, śród swoich i na własnych śmieciach. Nie sądź wszakże, byś był miał sposobność do zbytków. Prócz kilku biesiad dans des lieux retirés u Katza i niektórych smutnych wypadków na zielonych łanach Resursy, bawiono się nadzwyczaj skromnie. Dezercyą chwilową od Cheveta miał wywołać, jak mi mówił na ucho sam Szef tego zakładu, pewien lekkomyślny jegomość, który ongi „kierował lejcami...“ Pst! Toby wołało o pomstę do Boga... Co do drugiego drażliwego punktu odsyłam Cię po informacye do kilku mych przyjaciół, którzy chwilowo oddają się pokutnym praktykom w skromném ustroniu „vor der Höhe.“

Dawniéj już w popielec po nabożeństwie porannem u fary widziałeś furgony, uwożące mnogie kufry z toeletami balowemi na dworzec kolei żelaznéj. Rozmaitemi kolasami opuszczały królowe karnawału Poznań, udając się już to do zagranicznych stolic, już to do wiejskiego zacisza. Tą razą przecież ogłosiła zawczasu uprzejma pani domu przy ulicy Berlińskiéj, że przez cały post w każdą niedzielę przyjmuje w swych salonach — i dzięki temu magicznemu słowu towarzystwo karnawałowe nietylko pozostało w komplecie, ale nawet poczęło się uzupełniać świeżemi z prowincyi posiłkami, mianowicie płci brzydkiéj, któréj szeregi wzmocniła jeszcze bratnia Kongresówka.

Nie będę Ci opisywał Władziu, tych świetnych „rautów“ niedzielnych, urozmaiconych przecudnym śpiewem i mistrzowską muzyką, ożywionych bystrym dowcipem hr. Satyra i Pieśniarza z nad Gopła, a splatających najpiękniejsze z pięknych w jeden czarujący wieniec, około którego gromadziły się szeregi olśnionych miłośników młodości i wdzięku. Ileż to czułych westchnień, ileż rozgorączkowanych spojrzeń rozpaczy lub nadziei były świadkami „złoty salon,“ „zielony buduarzyk,“ sala bufetowa i krużgankowy kominek! A przecież wszystko to spełzło daremnie i choć wielu było pokonanych, nikt stanowczego nie odniósł zwycięztwa... Nieraz wpadał do mnie wprost z rautu biedny Edzinek, blady, z roziskrzonemi oczyma, z zwątpieniem wyrytém na twarzy.

— Wierzaj mi — wykrzykiwał biegając po pokoju — że z naszemi paniami można oszaleć. Jedna ładniejsza nad drugą a każda tyle ma uroku, iż sądziłbyś na pierwszy rzut oka, że to anioły. Ale biada temu, co nie będąc z góry wybrańcem, zbliży się do któréjkolwiek z tych niebianek. Jeśli zawczasu mama nie da ci słodziuchno do poznania, żeś zawsze mile widziany jako przyjaciel domu, podwójnie byłbyś przykrym jako konkurent, to sama panienka takim cię królewskiem powita wejrzeniem, iż najchętniéj zapadłbyś się téj saméj chwili w ziemię. Inne znowu pastwią się nad tobą, jak kotek nad myszą. Czasami raczą się uśmiechnąć, rzucą łaskawe słówko jak żebrakowi jałmużnę, a gdy niebaczny ośmielisz się uprząść z téj złotéj nici tkankę

nadziei, wnet drapują się w posągowe kształty i stają się głazem. Więc uciekasz spłoszony — wtém widzisz, jak jéj wzrok na wpół rozłzawiony, na wpół smętny za tobą goni... Jestże to zachęta, byś wrócił, czy też ostatnie pożegnanie?... Znów zatem powracasz, aby rozwiązać zagadkę — i znów ta sama czeka cię odprawa. Zaręczam ci, że one nie mają ani odrobiny serca, ani iskierki poezyi... Każda niemal patrzy tak chłodno na życie, jak bankier, co wypożyczając pieniądze, z góry oblicza procenta...

— Ależ Edziu — odpowiadałem zwykle na takie jeremiady — jesteś strasznie uprzedzony i ogromnie przesadzasz w kolorach. Młodość ma swoje prawa i nie da się okuć w kajdany. Niejeden z tych głazów pali się wewnątrz płomieniem, który gwałtem stłumia w obec świata. Tak nakazuje dobre wychowanie i tysiączne inne względy. Gdybyś mógł przedrzeć się oczyma duszy w głębiny dziewiczego łona, ileż byś tam nieraz znalazł gorących wspomnień, z rozkoszą pielęgnowanych w ukryciu; ileż nieznanych nikomu lubych tajemnic, które może dopiero kiedyś a może i wcale nie ujrzą światła dziennego... Ufaj memu doświadczeniu: młoda kobieta, to sfinx nieodgadniony — milczenie jéj szanować należy...

— Człowieku, ty nigdy nie przestaniesz się łudzić! — odpierał na me uwagi rozdrażniony hr. Edward i opuszczał mnie, by na Resursie dać odpływ wzburzonym uczuciom.

* * *

Dobry przykład zawsze znajduje u nas naśladowców. Za wzorem hotelu przy ulicy Berlińskiéj wnet też poszły i inne domy zamożne, otwierając swe gościnne komnaty dla wspólnéj rozrywki. Nie zliczyłbym wszystkich większych i mniejszych wieczorów i herbat, oraz przyjacielskich śniadań i obiadów, jakie od popielca aż do niedzieli palmowéj uprzejemniały pobyt w Poznaniu. Wszędzie bawiono się wesoło, ochoczo, ale z umiarkowaniem. Po trudach wieczornych zgromadzano się zwykle w południe na alejach dla przechadzki, poczém w godzinach popołudniowych urządzano przejażdżki pojazdami, najczęściej do Szeląga lub do Dębiny, gdzie młodzież zabawiała się niewinnemi grami a starsi pokrzepiali się wiejską kawką. Kawalerowie na wydaniu poczęli na gwałt sprowadzać ekwipaże i wierzchowce, tak że nasze biedne miasto, w którém od wielu lat tylko niemal spanoszeni synowie Izraela i najwyżsi dygnitarze pruscy posiadają własne pojazdy, ujrzało nagle szereg tak świetnych karet, koczyków i karykli, jak za minionych czasów, gdy to jeszcze na wyścigi konne jeździły „trzy gracye“ czterokonnym faetonem à la Daumont...

Pewnego pogodnego wieczora, gdym właśnie około 6 powracał „Z gorzkich żalów“ od Bożego Ciała, obudził mnie nagle z zadumania warczący po bruku turkot pojazdów, powracających z Dębiny. Przesunęła się naprzód wspaniała złoto-niebieska otwarta kareta, daléj kocz parokonny, z kapiącą od srebra uprzężą, obok którego galopowało na spienionych rumakach kilku młodzieńczych jezdzców, późniéj jeszcze dwa kocze i kilka karyolek. Każdy pojazd witałem pokornym ukłonem, składając powinny hołd unoszonym przez nie wiosennym pięknościom. Sądziłem, że cała już minęła mnie kalwakada, gdy wtém ujrzałem na skręcie zwolna wlekącą się „dryndę“ z bracią z Kongresówki a w oddali pędzący wyciągniętym kłusem przepyszny karykiel Herkula, powożony zręczną dłonią hr. Satyra. Spostrzegłszy w nim pana Józefa, do którego ważny miałem interes, wrzasnąłem na całe gardło:

— Zkąd powracasz luby Amfitryonie?

Hr. Satyr powstrzymał dzielne gniadosze, a towarzysz jego lekko zeskoczył z siedzenia i rzucił mi się na szyję.

— Ach, Toujours le Même, gdybyś wiedział, jaka to cudna była „aferka!..“

— Gdzie i kiedy, Gioseppo?

— Byliśmy w Dębinie, bawiłem się bajecznie... Wyobraź sobie, graliśmy nasamprzód w „fanszonetkę“ a późniéj w gąsiora i w pytkę. „Królowa“ raczyła po dwakroć uderzyć mnie w plecy i to dość silnie; „kawalątko“, żem nie oszalał z roskoszy. „Ravage!“ — ale koniec końcem: „On dansera!“

— Przysięgam Ci, że słówka nie rozumiem...

— Mniejsza o to. Nie taki ja w ciemię bity, jak sądzisz. Będzie „katastrofa“! A zresztą pal djabli, wyjeżdżam ztąd i niepowracam więcéj...

— Po co, dla czego? Wszakże Cię wszyscy kochają, bez Ciebie nie ma żadnéj zabawy, żadnéj przechadzki. Ty głównie z Gwiaździarzem i hrabią Kolibrem uprzyjemniasz rauty... Buleander, dotąd zawsze zwycięzki, nie godzien do Twych stóp przywięzywać sandałów...

— Ravage! Nie mów mi o Buleandrze... to mój antagonista. Ma do mnie „ansę“ i wciąż we mnie zaczepia. Ale zamilczmy o tém... Do zobaczenia na raucie... Biegnę szukać kamelii do bukietu...

— Zobaczysz — dodał z tajemniczym uśmiechem — On dansera!...

I machnąwszy pokilkakrotnie ręką w powietrzu, odszedł spiesznym krokiem, pozostawiając mnie samego.

— Szczęśliwy! — pomyślałem. Bodajże się kocha! ..

* * *

Im więcéj wszakże zbliżał się Wielki Tydzień, tém bardziéj szczupłało pokarnawałowe towarzystwo. Rauty były coraz mniéj liczne, aż w końcu na ostatnim złowroga liczba 13 biesiadników zasiadła do wieczerzy. Powoli poczęły wyjeżdżać mamy z córeczkami i kawalerowie z rozdartemi sercami. Tu i owdzie popłynęła cicha łezka przy opuszczeniu zimowych leży, w których niejedną miłą spędziło się chwilę. Młodzież pospieszyła się gotować na wielkanocną wyprawę do pod — chciałem powiedzieć do nad-rzecznego zameczku, nawet hr. Edward wyjechał, jeden z ostatnich, do pałacu swego dziada na wyniosłym tarasie, ugościwszy poprzednio lukullusowym obiadkiem przyjaciół... I stało się pusto w naszem miasteczku a z okien, z których dawniéj błyszczały światła, spoglądają dziś na przechodnia wypłowiałe zasłony, ponure świadki ogólnego osierocenia...

Więc i nam drogi Władziu, trza się także pożegnać, a na myśl tę mimowolnie ogarnia mnie smutek. Pożegnanie bowiem każde rodzi we mnie niewysłowioną tęsknotę a gdy urywam pismo do osoby drogiéj, lub po raz ostatni ściskam rękę téj, którą kochałem lub dotąd jeszcze kocham, tyle wspomnień tłoczy mi się do duszy, tak żywo staje przedemną przeszłość, że czuję, jak łza ciśnie się do oczu i żal opasuje serce.

Bywaj zdrów przyjacielu, i odżyw w pamięci te chwile, kiedy chłopięciem z rodzinnego gniazda słałem Ci szczere życzenia jak najweselszych świąt wielkanocnych... Bywaj zdrów, a jeśli tylko jest Ci możebném, przybądź wraz z całém towarzystwem z prowincyi na dzień 18 Kwietnia do Poznania. W dniu tym występuje znakomity Rychter na swój benefis w skąpcu Moliera. Sądzę, że to wystarcza, by Cię zwabić wraz wszystkimi gośćmi i sąsiady do naszéj wielkopolskiéj stolicy. Przy téj sposobności skorzystasz zapewne z pobytu Maleszewskiego w bazarze i poprosisz go o portrecik Twéj uroczéj Zoni... P. Tytus dziwny ma dar przenoszenia jakby żywcem na płótno takich świeżych różyczek.

Twój niepoprawny

Toujours le Même.

Szarada.

Pierwsza i druga,
Trzecia i druga
Jedno i to samo znaczy,
Każdy to zajadać raczy.
Całe zaś to sługa
Któréj główne powołanie
Sposobić państwu śniadanie.

(Rozwiązanie szarady w Nr. 14: *Stodoły*.)

Korespondencye Redakcyi.

Panu J. N. Kur. w Dusinie: Dla przyczyn, które w danym razie osobiście wyłuszczymy, do żądania Pańskiego niemożemy się zastosować. — Panu C. R. w Poznaniu: Zakres pisma naszego nie pozwala na umieszczenie pracy nadesłanéj; w każdéj chwili jest ona do odebrania w Redakcyi — Pani L. S. pod Kościanem: Serdecznie dziękujemy. — Prenumeratom i Prenumeratorkom naszym: Winę nieregularnéj expedycyi poczcie przypisujemy. Jeżeli numer rąk prenumeratora nie dochodzi, należy reklamować na poczcie, gdyż expedycya nasza regularnie wszystkie wysyła.

Na Fundusz Konkursowy złożono:

Gintrowicz 2 tal.; Sobeski 15 sgr.; Ser. Żychliński 20 sgr.; w cuk. Sobeskiego 10 sgr.; Kortak 15 sgr.; Jerzykiewicz 1 tal.; Hertz 1 tal.

Nakład i Redakcya księgarni M. Leitgebra i Spółki. — (M. Leitgeber i St. Tułodziecki w Poznaniu.) — Czcionkami W. Deckera i Sp. (E. Röstel.)